

# OBSESJE I PORACHUNKI

Studio Współczesne (Kraków). S. Stanuch: „W lesie” (I. Zabity deskami”. II. „Na rykowisku”). Adaptacja i reżyseria — L. Zamkow. Reżyseria tv — W. Gawroński. Opracowanie muzyczne — J. Kaszycki. Scenografia — R. Rachel. Premiera 6 III 1968 r.

Stanisław Stanuch zwrócił na siebie uwagę krytyki wydaną w roku 1959 powieścią, a właściwie „antypowieścią” — jedną z pierwszych tego typu na naszym gruncie pt. „Portret z pamięci”. Było to studium psychologiczne w formie literackiej, poświęcone człowiekowi obciążonemu kompleksami, nieprzystosowanemu. Po tej interesującej, choć kontrowersyjnie ocenianej zapowiedzi następna pozycja autora ukazała się dopiero w roku 1966. Był to zbiór nowel „Przystanek w szczerym polu”, które powstawały od roku 1955. Wśród tych utworów o bardzo nierównym poziomie do najeiekawszych pozycji należą te, które podejmują problematykę pokrewną „Portretowi z pamięci”, a więc mówią o samotności człowieka, o jego izolacji od zbiorowości, w formie osobistych refleksji i zwierzeń, słabiej natomiast wypadły te, które autor poświęca wspomnieniom dzieciństwa, okupacji, rozrachunkom z przeszłością.

W widowisku przygotowanym przez krakowskie Studio Współczesne poddano adaptacji dwie nowele Stanucha, jedną zaczerpniętą z wymienionego powyżej tomu („Zabity deskami”), drugą zaś, najwidoczniej późniejszą, gdyż nie zamieszczoną w zbiorze pt. „Na rykowisku”, dołączono na zasadzie podobieństwa terenu (i tutaj rzecz dzieje się „w lesie”). Należą one właśnie do dwóch odrębnych typów, o których powyżej była mowa: pierwsza to wnikliwy psychologicznie portret odizolowanej od życia staruszki, drugie to opowieść o porachunkach okupacyjnych, które zakłóciły po upływie dwudziestu lat beztrudny relaks kilku ustabilizowanych życiowo mężczyzn, poszukujących w dalekim leśnym zakątku swej myśliwskiej przygody. I tutaj także pierwsze opowiadanie góruje oryginalnością pomysłu, analizą psychologiczną i nastrojem. Drugie, zresztą napisane, operujące nagłym zaskoczeniem sytuacyjnym jako osią kompozycyjną, z wyraźną domieszką elementów sensacyjnych — jest uboższe w problematyce i po prostu traci przez porównanie.

Zestawienie tych dwóch tekstów nie było zrezygnowanym zabiegiem, sugerowało, że mamy do czynienia z jednym opowiadaniem zatytułowanym „W lesie” i podzielonym jak gdyby na dwa „akty”. Możliwość pomyłki potęgował fakt, że w obu opowiadaniach główną rolę grał L. Herdegen, w pierwszym opowiadaniu przeciętny śmiertelnik, który po prostu utknął w drodze z powodu „zimy stulecia” i zawędrował do leśnej chaty dawno niewidzianej ciotki, w drugim — dawny partyzant „Wicher” — mściciel i wykonawca tajnych wyroków, występujący pod maską funkcjonariusza milicji. Nie ma między nimi nic wspólnego, a chociaż bystry widz zauważył, że obsada obu

nowel podana została osobno, to jednak w pierwszej było sporo niedomówień, można więc było naprawdę przypuścić, że zablakany podróżny uważnie słuchający wyznań ciotki, przybył tu w istocie by wypatrzeć szalasa, w którym spotkali się myśliwi, a wśród nich „Grom”. Takie niejasności na pewno nie są pożądane.

W tym układzie na uwagę zasługuje jedynie opowiadanie pierwsze, poddane zrezygnanej adaptacji, nie najłatwiejszej, trzeba bowiem przekształcić monolog bohatera w dramatyczne „dzianie się” dotyczące głównie obsesyjnych przeżyć staruszki. Świetny jest ten portret osiemdziesięcioletniej kobiety, która stworzyła sobie swój własny, fikcyjny świat przesycony lękiem, skonstruowany na kanwie wiadomości z gazet o wydarzeniach na dalekim świecie (samobójcza śmierć Marilyn Monroe) i o najnowszych wynalazkach, czasem autentycznych, czasem wyhodowanych w jej wyobraźni (promieniowanie radioaktywne, któ-

re dociera aż tutaj, gazy trujące, zastrzyki na odległość, „dyżurny” helikopter). Sylwetka Starej, wzruszająca i groteskowa, wystąpiła wyraziście na tle doskonałej scenerii (ta niedźna chatka, te autentyczne kury i koty!) dzięki wspaniałej interpretacji Z. Zmijewskiej, która naprawdę wierzyła w wizję swej wyobraźni i umiała głęboko wzruszyć swą „młodzieńczą” żywotnością i wstrząsającą w tym obsesyjnym kręgu przewidywań — trzeźwością i beztrudną. Leszek Herdegen słuchał jej z uwagą i skupieniem, jak równego partnera, używając argumentów serio, w sposób najbardziej naturalny opowiadając o sobie. To była jedyna droga interpretacji, chyba jednak szkoda, że nie zostały rozszerzone partie dotyczące jego życiowych pomyłek, jego dziwnego sposobu zarabkowania (pisanie referatów i przemówień „dla niższego, średniego i wyższego szczebla”). Pogłębienie jego życiorysu ukazałoby pełniej spotkanie dwojga ludzi, z których każde jest na swój sposób wykołone. I wówczas adaptacja jednego opowiadania „Zabity deskami” wypełniłaby cały wieczór teatralny Studia Współczesnego...

Kr. K.